

NIEKONWENCJONALNY PRZEWODNIK TURYSTYCZNY

Przed wami nowy kącik - turystyczny - dla tych, co to lubią podróżować po kres świata, w nieznanne. Nie będzie to jednak suchy przewodnik. Proponujemy wam bowiem najprawdziwsze opowieści nie tylko o tym, co widzieliśmy, ale i jak widzieliśmy (to równie ważne, a może nawet ważniejsze). Taki mały pamiętnik turystyczny, pisany głównie z myślą o tych, których ciężko wyciągnąć na jakąkolwiek wyprawę. Może jednak się uda. Jesteście gotowi? Wyruszamy!



PORYTOWE WZGÓRZA

Czy zastanawialiście się kiedyś nad ludźmi, którzy tam, gdzie my jedziemy są u siebie? Nie zapomnę rozmowy z koleżanką, którą los przywiódł z gór na studia do Lublina. „Jak byłam tam, był to dla mnie po prostu dom. Nie zastanawiałam się, czy to jest piękne, czy nie. Przyjechałam tutaj, życie toczyło się dalej. Ale po kilku miesiącach wróciłam do domu, na parę dni. Byłam u siebie w pokoju, za szybą znane mi od dzieciństwa lasy, góry i pomyślałam: Boże, jak tu pięknie!” Czasami coś zauważa się dopiero wtedy, gdy tego zabraknie. Wiedzą o tym starsi, dla nich dom to dom, nie sposób zmienić swego miejsca. Nasze pokolenie jest jakby inne, dla nas zwykle nie jest takie ważne, gdzie mieszkamy. W tym mieście, w tym bloku - równie dobrze mogłoby być gdzie indziej. Czasem jednak mamy tego dosyć, ciągnie nas wtedy w te góry, lasy. Inny świat.

Niektórzy uważają, że najważniejsza jest dobra pogoda, wyjątkowo atrakcyjna trasa, dużo zdjęć i piękne widoki. Poniekąd to prawda, ale nie do końca. Wcześniej, czy później każdy zrozumie, że najważniejsi są ludzie. Wrażenia, nawet z wyjątkowo oszałamiającej widokowo wycieczki mogą być nieciekawe, o ile coś będzie się działo niedobrego z nami w grupie. Pochłonięte własnym rozczarowaniem z koleżanek i kolegów, czy rozważanie jak tu komuś się odgryźć, może spowodować, że oglądając potem czyjeś zdjęcia możemy nie uwierzyć, że na tej

nieciekawej - jak nam się zdaje - trasie były takie piękne miejsca. Sami też możemy uatrakcyjnić życie naszym współwędrowcom tak dalece, że nigdy więcej już nie zaproponują nam następnej wycieczki. Zaprzyjaźniony wieloletni organizator wyjazdów i rajdów turystycznych na karteczkach z najważniejszymi informacjami (odpowiednio wyposażony plecak, miejsce docelowe, pociągi, koszt itp.) zawsze dopisywał, żeby wziąć ze sobą koniecznie dobry humor! Szczególnie wtedy, gdy jakoś o niego trudno.

Z drugiej strony, przerażająca wycieczka w deszczu, mgłę i zimnie może okazać się przygodą waszego życia. Pamiętam, taką wycieczkę w Lasy Janowskie. To część Puszczy Solskiej, jednego z największych kompleksów leśnych w Polsce. Z Lublina jedzie się do rozpoczęcia wyprawy do jednego z najbardziej urokliwych zakątków Puszczy Solskiej - Porytowych Wzgórz. Prognoza pogody przewidywała piękny, słoneczny dzień. Rano wprawdzie, jeszcze w Lublinie, było pochmurnie, ale nie przewidywaliśmy większych kłopotów. Gosia, Monika, Grześ i ja - tylko cztery osoby. Grześ nie wziął nawet ze sobą kurtki, to był ciepły maj, no i przecież miało świecić słońce. Deszcz zaczął padać dopiero w Janowie. Wysiedliśmy na przystanku w Szklarni, na szczęście jest on dość duży i zadaszony. Obok niego piękny drewniany krzyż i kapliczka, nieco dalej gęsty las. Usiedliśmy na ławeczce patrząc przed siebie. Dach tu i ówdzie przeciekał, co ciekawe szczególnie w tych miejscach,

gdzie siadaliśmy. A na zewnątrz lało już jak z cebra. Najbardziej nieszczęśliwy był Grześ. Brak kurtki w takich warunkach nie wróżył mu niczego dobrego. Mieliśmy ze sobą wielką plastikową płachtę, służącą zwykle za obrus do naszych turystycznych posiłków. Udało nam się owinąć nią dość szczelnie Grzesia, który wyglądał w tym stroju nieco nietypowo, ale przynajmniej zwiększył swoje szanse na pozostanie suchym. Grześ przeistoczył się w ogromną muchę z potężnymi, białymi skrzydłami. Musiał to być niezwykły widok, gdyż przejeżdżający szosą „maluch” zatrzymał się w pobliżu. Wysiadł z niego leśnik, podszedł do nas, stanął pod dachem i tylko się patrzył. Najpierw na nas, potem w las. Cisza. Po dłuższej chwili zapytał, czy nie mamy zapalek? Nie mieliśmy. Powinniście mieć - powiedział, po czym wrócił do swojego samochodu i odjechał. Nietypowy człowiek. W międzyczasie tak jakby zaczęło się przejaśniać. Postanowiliśmy wyruszyć w drogę.

Ze Szklarni na Porytowe Wzgórze wiedzie szlak czerwony. Początkowo idziemy drogą asfaltową, w pobliżu ostoi koników leśnych - tarpanów. Nie było ich dzisiaj widać. Przejeżdżające z rzadka samochody zwalniały na nasz widok, podróżni uchylali mokre, zalane deszczem szyby, i przypatrywali się nam z nieukrywaniem zainteresowaniem. Deszcz ponownie zaczął się wzmacniać, ale wkrótce przyszedł czas na opuszczenie asfaltówki. Około 3 km od Szklarni dochodziliśmy do dużej polany po wyrębie (z lewej strony),

zalesionej. Przy je skraju (z prawej) znajduje się znak drogowy „3 skrzyż”. Tuż co za nim weszliśmy w pierwszą piaszczystą leśną drogę w prawo. Nie było żadnego znaku skrzyż, ale tak podpowiadał stary przewodnik. W lesie szlak już był. Pod osłoną drzew wydawało się być nieco bardziej sucho. Podniosła się niewielka mgła, dodająca trochę bajkowości, nierealności. Oprócz nas nie było już tu nikogo. Grzesio zaczął nieco przemakać, my również. Zbliżaliśmy się już do Porytowych Wzgórz. W tej okolicy i na pobliskich bagnach odbyła się jedna z największych bitew partyzanckich okresu II wojny światowej. Przemierzając drogi i wąskie ścieżki w deszczu i mgłę czuliśmy się prawie jak partyzanci. Teren zaczął się wznosić, weszliśmy na zalesiony, wysoki i długi wał. To Porytowe Wzgórze. W dole pozostawały niedostępne, tonące w deszczu i mgłę trzęsawiska. Szliśmy w milczeniu, chłonąc to, co wokół nas się działo. Przed nami kolejne niespodzianki, liczne kładki rozrzucone nad mokradłami. Drewno niebezpiecznie trzeszczało, poręcze rozsypywały się, a pod nami woda. Niespodziewanie z mgły wyłonił się most byłej kolejki leśnej. Zabrano tory, most pozostał. Weszliśmy na niego. Pod nami spokojnie płynęła rzeka Branew, tworząca tu liczne, malownicze zakola. Nieco dalej trzeba było już opuścić szlak. Biegnie on dalej do Bidaczowa, jeszcze dalej na Rostocze do Suśca. Przeszliśmy obok cmentarza, pomnika i krzyża upamiętniającego tych, co tu kiedyś walczyli. Biegnący partyzanci, w mokrych teraz pelerynach, obok rozgrywanego się granatu. Jeszcze żyją, zakłęci w pomnik.

Było już dawno po południu, a my byliśmy dopiero w połowie drogi. Przed nami jeszcze 10 kilometrowy odcinek nieznakowanej trasy. Minęliśmy przystanek PKS przy Porytowym Wzgórze, niestety już prawie nie jeżdżą tu autobusy. Wyruszyliśmy dalej szosą na północ w kierunku wsi Flisy. Otworzyły się przed nami rozległe polany z majaczącą się w oddali, we mgłę, linią lasu. Na przeciwległym krańcu wsi szosa zakręcała w prawo, my zmierzaliśmy w przeciwnym kierunku, ledwie zarysowaną polną drogą. Podobno została wytyczona jeszcze przed wojną. Omijaliśmy wielkie kałuże, dochodząc po chwili ponownie do lasu. Tu było już gorzej. Przed nami szerokie rozlewiska, na całą szerokość drogi, wchodzące głęboko w las. Robi się coraz później, trzeba przejść jeszcze kilka kilometrów, a to najbliższa i zarazem jedyna w okolicy droga do

Janowa Lubelskiego. Idziemy dalej! Przedzieramy się przez krzewy, wyszukując najmniej podtopionej ścieżki. Potem było nam już wszystko jedno. Wokół lasy i woda, woda, woda. Mijaliśmy stare kapliczki, jedna z nich ozdobiona krzyżem z półksiężycem, rozpadająca się. Dużo kapliczek w tych lasach. Często stanowią one partyzanckie pamiątki, niektóre pamiętające jeszcze czasy zaborów i powstań. Dalej jeszcze trudniejsza droga. Niespodziewanie wyszliśmy na polanę. Przed nami - to chyba fatamorgana - solidny, drewniany most na niewielkiej rzece Trzebysz. Zatrzymaliśmy się tu na dłużej. To niezwykle, usiąść na solidnym drewnianym moście, wznoszącym się wysoko ponad otaczający teren mając przed i za sobą trzęsawiska. Po kanapce i ruszamy dalej. Droga wyrównuje się, idziemy szybciej. Zauważamy śmieci. To widomy znak, że blisko już do ludzi. Smutny znak. Jeszcze jedna kapliczka i z leśnej drogi lądujemy na asfalcie. Pojawia się nawet chodnik. To Janów Lubelski. Już wracamy. Kiedy doszliśmy na dworzec, okazało się, że właśnie uciekł nam autobus. Ale potem był jeszcze jeden. Na szczęście, bo było nam zimno i mokro. Ale zarazem tak jakoś inaczej. Czuliśmy, że dowiedzieliśmy się o sobie czegoś nowego będąc tak razem w deszczu i we mgłę.

A potem w lecie, w słońcu, nie było tak bajkowo i niezwykle. Latem, pod pomostami niewiele wody, a droga przez Flisy do Janowa sucha. Ale również piękna.

Szlak czerwony zaczyna się w Lipie i prowadzi przez lasy Puszczy Solskiej do Suśca, omawiany odcinek Szklarnia - Porytowe Wzgórze wynosi ok. 8 km. Nieznakowana trasa Porytowe Wzgó-

rze - Janów Lubelski wynosi 10 km, można też wracać nieco krótszym szlakiem żółtym, obok kolejnej partyzanckiej pamiątki - kapliczki w Kruczku (tu modlili się w czasie wojny partyzanci) i zalewu pod Janowem. Szlak żółty oprowadza dodatkowo krótką pętlą po stanowiskach bojowych Porytowego Wzgórze. Wyznakowano jeszcze kilkunastokilometrowy szlak zielono-czerowno-zielony (Uwaga! Znaki tylko z jednej strony drzew) oprowadzający po całym terenie walk Porytowego Wzgórze. O innych szlakach za miesiąc!

Arutur Pawłowski (tekst i zdj.)